

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 13 marca 1909 r.

№ 11.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

Powieść historyczna.

I.

W Iłkuście Morozdyń był.

Morozdyń, więc jarmark wrześniowy, który na dzień Narodzenia Najświętszej Panienki do Iłkuśty mrowie luda zgromadzał, wszystkie bogactwa ziemi inflanckiej nad brzegami małej a czupurnej rzeczki Iłkuścianki rozpościwał, conajprzemysłniejszych przekupniów a kramarzów aż z pod Rygi, Połocka, Wilna i Kłajpedy zwabiał, a przez dni siedem cichą, skromną miasteczkę na pulsujące zgłębką i gwarem rojowisko zamieniał.

Juści pierwsze dni Morozdynia większym statkiem i spokojem się odznaczały, niż ostatnie. Ile że niedarmo podanie głosiło, że kościół i klasztor jezuicki w Iłkuście pan wojewodzina Zybergowa, po pożarze, z sera i masła odbudowała. Niedarmo, ów przeor, gdy kościół i klasztor się palił, tak był zadufany w szczodroblliwość iłkuściańskiej dobrodziejki, iż, aby papugę swoją z ognia wynieść, a rozpaczających braciszków pocieszać wołaniem— „nasza opiekunka lepszy nam kościół wymuruje“.

Zbożni panowie władali w Iłkuście, zbożny przykład szedł z sąsiedniego Szlosbergu, tedy i Morozdyń iłkuściański zbożnie się

poczynał, a dzwonami odpustowymi ściągającemu ludowi się kłaniał.

Stąd pierwsze dni Morozdynia miały w większym ładu, rozładzie i pomiarkowaniu. Oglądano towary, opatrywano konie, przezierano gadzinę, przepytywano się tu owdzie oceny, lecz nikt nie spieszył z dobijaniem targu. Nikomu nie było pilno. Każdy rad był do rynku ciągnąć i tu, bądź u ojców misjonarzy, bądź u bazylianów, błogosławieństwa, czyli pokrzepienia szukać. A dopiero dalej, między kramy podkościelne, lubił wędrować a baczyć, jakiego obrazika świętego do domu zdałoby się przywieźć, komu skaplerzyk, a komu jaki medalik kupić.

Ten prastary obyczaj iłkuściańskiego Morozdynia sprawiał, iż na jarmark zjeżdżała nadewszystko szlachta czynszowa. Łotwa Katolicka i Litwa ze Żmudzią. Za niemi dopiero lipki, tatarzy, a w ostatku Niemce różnorodne i lud wszelki, który ani do ojców misjonarzy, ani do bazylianów żadnej sprawy nie miał, a nawet do sądów „hauptmańskiego“ lub dawnego namiestnikowskiego meldować się nie potrzebował.

Iłkuśta od wieków szczerze polską była. Na półtora tysiąca

mieszczuchów, szaraków i majsterków ledwie z mędel łotyszów liczyła, z kopę Niemców, a żydków aby tylu, bez ilu herbowi posessorowie okoliczni obejść by się nie mogli. Ba, ale w dni Morozdynia też sama Iłkuśta zamieniała się w ciżbę tak różnorodną a zmieszaną, jakby wszystkie nacye tu, na granicy Inflant polskich spotkanie sobie wyznaczyły...

Jeżeli przecież łatwo było i w owych czasach wypomnieć miasto, w którym jeszcze większy zjazd nacyj się zdarzał, jeszcze większy ludów zamęt, to bodaj nigdzie nie znalazłby podobnej osobliwości, by tylu ludzi obcych sobie językiem, pochodzeniem, obyczajem, potrafiło się ze sobą rozumieć, a zawsze po swojemu, po rodzonemu mówić.

Prawda, że Litwa ze Żmudzią już za Gedyminą umiała z koroniarzami się dogadać, a od czasu Ostrobramskiej, — to do cna polską mowę pojęła; prawda, że i Białoruś od poczęcia swego nie miała z lechickim ozwanem utrapienia, bo, choć dwie gałęzie różnego odchylenia, a pień zawsze ten sam, kiwnie się jedna gałąź na lewo, druga ku prawej się ugnie, a pień precz trzyma. I próżno białorusin ciągnie głosem, co polak w uśmiech

kurczy a tnie zamaszycie. Tłumacza im nie trza.

Tedy póki na Morozdyni Iłukszciański Litwa ze Żmudzią i Białorusią jechały, nie można się było dziwować, że się między swoimi rozgadają. Jeszcze i tatarzy, lipki, nikogo by zdumieć nie mogli. Naród to opatrny, jarmarków zwyczajny, od króla Jana ziemi, która go przytuliła, wierny.

Z lipkiem nie tylko na Litwie, ale i w koronie i w Inflantach, każdy swojak. Bełkocze taki lipek cudacznie, Allaha wypomina, w palce cmokta, księżycowi bije pokłony, na kazania do mułty chodzi, bo bisurman. Lecz sprawiedliwy człek, do ludzkiej mowy chętny i dla sprawy chrześcijańskiej grzeczny.

Nawet i Łotwa mogła była dowieść, żeć nie darmo, aby w połowie tylko Lutrowi ślubowała, a co w Inflantach polskich—przed jednym ołtarzem z Iłukszcianami się modliła.

Gdybyż atoli tu był koniec nacyj. Gdybyż na Morozdyni Iłukszciański nie zjeżdżali byli i niemce nadbałtyccy, i cyganie, i kupcy jarosławscy i moskiewscy, i estońscy, i czuchny, i żydkowie z pod Królewca, i grecy wędrowni, i szwedzi, i chłopci z za Smoleńska, i łyki z pod Rygi, i rumuni po bursztyn, i chmara mieszczuchów z Dyneburga, i prusacy po konopie, po zboże, po drzewo, po wszystko, czego brak pruskim piachom!

A przecież ci rozmaici, jakby topnieli w Iłukszczie, jakby całą swą cudzoziemską skórę zrzucali, jakby zgola rodzonimi sobie byli.

Jedni niemce chodzili samotrzeć. Lecz co zresztą, na jarmarku, wszędy też sama gęstwa, jednako pstra, jednako żwawa, jednym sercem łomocząca, ku jednej mowie się kłoniąca.

Inaczej bo i być nie mogło. Inflanty polskie nie dla parady ani politycznej racyi polskimi zwano.

Na wschód od korony różnie bywało. Litwa, Żmudź, Białoruś za jedno z Rzeczpospolitą szły, aleć po swojemu śród ludu gadały, a co koroniarzką mowę na swój własny ład przeinaczały. I z obyczaju takóże wiele odrębnego zachowały. A ponieważ na wschodzie, ku

północy, zwartą ławę tworzyły, tedy im dalej w głąb jechać było, tem więcej mowy polskiej zamglenia, tem mniej estymy dla zrazów i żuru, a co raz większa dla kołdunów. Jakoż na szczerym wschodzie kołduny dalej na bliny się zmieniały, żupany na sarafany, a buty palone nachodaki parciane.

Tymczasem, gdy ku północy należało się tej samej metamorfozy spodziewać, a bodaj gorszej, boć ku północy, nad Bałtykiem, już i niemce siedzieli, a obok gromada grałów i baronów, co od komturów, czyli wprost braci krzyżowych się wywodziła, tuż nad brzegami Dźwiny, wyrastała połać Inflant. Połać, tak mocno koroniarzkim nawyknięciem przejęta, tak wdźwięku wysłowienia czysta, jakby tępołać ziemi moce niebieskie z pod Lublina wyrwały lub Wielkopolsce wydarły i tu, nad brzegami Dźwiny, porzuciły.

I nie było na granicach Inflant polskich żadnego złagodzenia, ustąpienia. Jeszcze w pobliskich Jeziorosach lud na Wialnisa kłął, a łacniej po łotewsku z nim do ładu było dojść. A tuż za Jeziorosami—koniec wszystkiego, co nie szczerze sarmackie, co nie koroniarzkie.

Iłukszta stała na wedecie Inflant polskich, strażowana od zachodu przez Szlosberg, który baczyl święcie na testament imci pana Kazimierza z Broelu Platara, ostatniego podkanclerza litewskiego a dyneburgskiego starosty, i testamentem tym sięgał Krasławia, Indrycy, Świętmujży, Dwet, Antuzowa, Kurkli, Likсны i Dusiat.

Iłukszcianie oczywiście już na miesiąc naprzód sposobili się do Morozdynia a zabiegali, aby najdogodniej ściągające na jarmark tłumy rozlokować i ład powinny utrzymać. Rajcowie magistracy głowili się zawczasu, co i jak zarządzić. Zadanie to było nielada. Morozdyni bowiem od roku tysiąc ośmset piętnastego, po latach ospałych, nieludnych, rósł tak, że nieomal w oczach się dwoił. Co roku rozszerzano zagrody na targach, co roku więcej klecono bud, komór i komórek, co roku większy obszar pola, ku Dźwinie, dla ciżby jarmarcznej dzierżawiono. Gdzie, co

roku większa ciasnota, mniej przestworu dla bryk i wozów.

Aż ci przed Morozdyniem roku trzydziestego rajcowie i posesorowie Iłukszciańscy na kiel wzięli. Do grała Platara-Zyberga, do Szlosbergu, z pokłonem poszli i rzecz całą dokumentnie wyłożyli. Pan grał Michał turbacyą Iłukszcian się zatroszczył serdecznie, a że przecież sam w inżynierach polskich niegdy majorzył, tedy bez mała własnoręcznie inny, znaczniejszy rozkład jarmarkowi wygotował. Dopieroż potem majsterków swoich, co sprawniejszych, aż z Podunaju, Anceniszek, Kamieńca i Anbelmyży zwołał i dalejże nimi dowodzić.

Iłukszcianom serce rosło na widok pana grała zapalczywości. Toć im nie tylko szop przeróżnych nabudował, zagród i żłobów nawiązał, dojazdy wyrównał, lecz i drogi wymościł, nowych studzien nawiercił, pola na targi, koński i bydłocy, przypuścił, prom na Dźwinie nowy przerzucił, ojcom bazylianom piękne wrota ofiarował, misyonarzom mury klasztorne świeżo wyprawił, nie zapomniał i o szkole powiatowej, a coposesorom, mieszczuchom—niczego nie odmówił, byle domki owe i obejścia wporządzili.

Jak Iłukszta Iłukszta, jeszcze nigdy tak pięknie się nie przygotowała na powitanie Morozdynia, jak w roku trzydziestym.

Kiedy tuż więc, przed jarmarkiem, Iłukszcianie rozglądali się dokoła—serce im rosło. Gdzie teraz choćby i Święcianom było do Iłukszty! Nawet i Dyneburg, a i ten mógłby ochędóstwa pozazdrościć. Przestworu zaś wszędy tyle, że bodaj całą Koronę w gości prosić, jeszcze człek o człeka by się nie otarł. Grał Michał wszystko wykalkulował, niechby nowa armia napoljońska z trenami weszła do Iłukszty, jeszcze nie zabrakłoby ani wodopoju, ani dachu, ani kołka.

Tymczasem zadufanie Iłukszcian srogą poniosło klęskę. Już na trzeci dzień jarmarku Iłukszta wypełniła się po brzegi, na piąty zawrzała takim zgielkiem, taką ciżbą, że ledwie można było się do rynku precisnąć, ledwie kąta wolnego dopytać. Ba, a lud tymczasem precz

ciągnął jeszcze. Łańcuchy wasagów, wozów, wózków, koni, krów, wół, trzody wszelakiej wlokły się nieskończonymi pasmami ku Łłukszczie. Aż dziw, skąd się brały.

Łłukszczianom ręce opadły. Przygotowania poczynione i w połowie nawet nie starczyły. Czterykroć więcej miejsc zadość by nie było.

Zjazd ten, tak niesłychany, tak mnogi, najwięcej podobno dokucał panu Błażejowi Onoszce, który na rynku, tuż pod ruin zamku, budowanego niegdy przez wojewodę Józefa Zyberga, a po śmierci tegoż zaniechanego, trzymał całę przednią gospodę.

Gospoda lichy się opłacała panu Błażejowi, a raczej tyle się opłacała, ile podczas Morozdynia utargować się dało. Po za tem, trochę grosza na Trzy Króle, na drugi jarmark, całę ubogi, a dalej tyle akurat bywało zysku, że pan Błażej ze swą połowicą i dwojgiem drobiazgu miał tyżkę strawy, dzban piwa i dach nad głową. Morozdyni tedy rozstrzygał zawsze o dobrym lub złym roku pana Onoszki. Stąd gospoda pod zamkiem na Morozdyni sposobiła się, niby do batalii, a co w tym właśnie roku—już całę kampanię wywojować chciała. Pan Błażej bowiem nie tylko, że ze szczodrośliwości grafa Michała stajnie sobie podwoił, nie tylko, że ciachaczem kamienia i cegły z ruin zamkowych na dolepień dwóh izdebek gościnnych uszczknął, lecz, co najważniejsze, do Ginteliszek, pod Telsze, do stryjeczne go swego się odwołał. Ów stryjeczny w Ginteliszkach, co Pocijów były a na Gorskich przeszły, za komisarza służył. Dziedziców pędzało po świecie. Imć komisarz na miejscu siedział, a że nie był z kamienia, więc barzej od kamienia porastał. Kmiotków łupił politycznie, kufami miód przedawał, komory, szpiżarnie miał do pułapu wyładowane, grosza pełne mieszki, do syta wszystkiego, no, i do jeszcze większego bogactwa łapczywość.

Pan Błażej bez trudu dowiódł stryjeczne mu, jako w gospodzie, pod zamkiem mógłby dwakroć więcej napoju i jadła na Morozdyni wyprzedać, gdyby zapasów nagoto-

wał i jako, gdyby komisarz zapasów mu pozwolił, z nielada procentem, po jarmarku, należytość by wypłacił.

Dał się przekonać imć komisarz, dziesięć wozów czubatych wyszykował, bacząc, aby krewniaka na wadze i miarze conajpiękniej ocyganić, zaczem skrypt kazał sobie ułożyć i prowiant do Łłukszty wyprawił.

Pan Błażej nie posiadał się z ukontentowania. Zdało mu się, że teraz dopiero gospodę zaopatrzył przystojnie, że teraz uniknie rwetesu, pomstowania, a żniwa tęgiego się doczeka.

Aliści, od pierwszego dnia Morozdynia, gospodę pod zamkiem taki tłum zaległ, że ani się obrócić, ani doliczyć wyszynku, ani opędzić nawoływaniom, ani nastarczyć z nalewaniem, oprzątaniem izdebek, noszeniem obroków dla koni, odpowiadaniem na pytania, sumittowaniem się, pilnowaniem izby gościnnej a zapisywaniem kredą na ścianie rachunków. Pan Błażej z początku zmagął się, napędzał parobków, fukał na połowicę, dziewczkom perory prawił, by żwawiej się krzątały, gości uniżenie witał—aż ustał, zdrętwiał z wyczerpania, z utrudzenia.

Chmara taka do gospody waliła, że ani kąta wolnego, ani stołka, ani łyżki, ani miski. A w dodatku, co drugi gość—to szlachcic, co trzeci—to pan butny, czupurny, kpami sadzący. Te kpy właśnie najbardziej pono Onoszce dokuczały. Szlachcicem przecież był, Jacyną się pieczętował, kneziównę w rodzie miał, a o karmazyństwie swoim rad bąkał. Prawda, że przy karczowaniu nauczył się łada wyrazu do serca nie brać, a conajwyżej podwójną kredką niestatecznych gości obliczać, aleć i w tem lubił obustronną miarę zachować. Aż tu naraż, od rana do nocy, kiep za kpem jął walić w korpulentną postać imć Błażeja, krew szlachecką w nim burzyć, a i gorszych uchyleń mu sporzyć. Na nic się nie zdały pełne godności napomknięcia, na nic krew zimna, na nic uszów stulanie, na nic brwi stroszenie. Goście, raz po raz, huzia na gospodarza szli, siłą dobywać chcieli

łada kusztyczka, każdą ekskuzę za obrazę brali, pędzali Onoszkę, niby ostatniego pachółka, oczajduszami i psianogami raczyli go co chwila.

Nadomiar, piątego dnia jarmarku, kiedy w gospodzie pod zamkiem ani izdebki wolnej nie było, zjechali oficerowie z Dyneburga. Pan Błażej w pierwszym impecie chciał brakiem miejsca się wymówić, tembardziej, że mu się nastęczyła nadewszystko obrzękła twarz i rude bokobrody majora Werculina. Ale tuż za Werculinem zaskrzyły się buliony generalskie i pułkownickie epolety. Generał Schirman, z komendantem szkoły podchorążych, Helwichem, i kilku sztabowcami ukazali się oczom zafrasowanego imć Onoszki.

Ani myśli o wymówieniu się.

Generał przecież stałe gospodę pod zamkiem nawiedzał i nie raz ładny grosz dał zarobić, a co stary komendant, ten ci nieomal dwa razy w tygodniu na swej siwej kobyle do pana Błażeja zajeżdżał. Nie sporo więc było dobrych gości odprawiać i zgoła niepolitycznie byłoby tak wielkich personatów nie przyjąć. Jeden major Werculin nie spodobał się panu Błażejowi, bo na kredyt pił, do chryi był zawsze gotów, a do płacenia nigdy. Lecz juści, w przytomności generała należało i Werculina uhonorować.

Z tych racyj dla imć Onoszki nowy i nie mały kłopot wynikł, bo trzeba było co tchu własnych komnatek oficerom ustąpić, a samemu do komórek napoddaszu się wynieść.

Kuso było panu Błażejowi z dzieciakami i połowicą w komórkach na słomie nocować, lecz przekawęczył jakoś do świtu. Ba, a tu na świt znów pojazdy, znów gwałtowniania o stancję, o kąt bodaj, o komórkę choćby. Ale imć Onoszko, po źle spędzonej nocy, zaciął się. Wejście na poddasze zawarł, aby mu kto ostatniego schroniska nie wypatrzył, a przybywających zbywał zakłębem, że gdyby sam Napoljon z grobu wstał i z wyspy do Łłukszty zjechał, to jeszcze by w gospodzie pod zamkiem skrawka miejsca nie znalazł.

DCN.

MARZYCIEL.

11

— Chodźcie, synkowie, na gorzałkę, zmarzłem, jak pies, a zaraz muszę rznąć na linię torować drogę przed pocztowym! Poszoł won! — krzyknął na warczącego jamnika, chwycił go za kark, zajrzał mu w zęby i rzucił na kanapę.

— Ostrożnie, to już nie pies, a prawie nabita Lankastrówka! — zaśmiał się Józio, rozpowiadając po drodze historię zamiany.

W bufecie było pusto, przejmujące zimno zawiewało od drzwi, wicher bił śniegiem w okna, garsoni łazili powarzeni i senni, a panna Marychna, opięta w czerwony Jersey, robiła nieśmiertelną patarafkę.

— Najobfitsza z dziewic, proszę o trzy duże i mocne! — zarządził maszynista.

Panna Marychna nalewała w skupieniu, była jakaś smutna i wdychała.

— Cóż to pani dolega? A może brzuszek, czy co inne takie? — rubaszenie żartował.

Westchnęła tak głęboko, aż Jerseye wzdęły się, niby fale, i jakiś guzik odprysnął i zadzwonił gdzieś o butelki.

— Jeszcze tak parę razy, a będziemy mieli prześliczne widowisko.

— I katastrofę, gdy tak za ostatnim guziczkiem wypryśnie naraz reszta...

Do sali wszedł siwy szlachcic, kiwnął im głową i samotnie spacerował.

— Raciborski ma jakiegoś jamra! — szepnął maszynista.

— Nie udało mu się jeszcze dzisiaj nikogo nabrać na pożyczkę.

— Niech tylko spadek wygra, to wszystkim odda co do grosza.

— Wygra, ale na fujarcę, — wtrącił pomocnik. — Ale z temi guziczkami — to wprost nadzwyczajne, kolosalne, nieprawdopodobne, bo ile razy panna Marychna wzruszona i zakochana, to zaraz sieje guzikami po całej stacy! Ja sam wczoraj znalazłem u Wacka zupełnie podobny...

Stała w ponsach i, zmierzwszy go wściekłymi oczami, uciekła za szafy.

Rozeszli się zaraz, maszynista skoczył na rezerwę i przepadł wraz z nią w śnieżycy, pomocnik ruszył ze skomlącym jamnikiem po Lankastrówkę, a Józio powrócił do kasy, ale zaledwie wziął się do roboty, wszedł Raciborski, milcząc się przywitał, zapalił papierosa i ponuro patrzył w szalejącą zawieruchę. Niby burza, wpadła na peron jakaś wojskowa ekstra: śpiewy, jęklive wycia harmonijek, wściekłe tupania i nieludzkie wrzaski zatrzęsły całą stacją. Towarowe wagony, zapchane żołnierstwem, aż huczały rozdygotane od bicia obcasów, prysiadów i pokrzykiwań, że jeszcze przez pewien czas po odejściu pociągu wicher przynosił dzikie odgłosy krzyków i muzyki.

— Jadą pod Rudkę do odwalania śniegu! — objaśniał Józio.

— Wie pan, przegrałem w izbie sądowej! — odezwał się z goryczą szlachcic.

— Pozostaje panu jeszcze senat! — ironizował bardzo ostrożnie.

— A jakby pan wiedział, że apeluję do senatu, a na swoim, psiakrew, postawię! Krzywdzić się nie pozwolę, jak pana Boga kocham, nie pozwolę! — wybuchnął.

— Więc ciotka nie miała prawa rozporządzać swoim majątkiem? Nie wiedziałem.

— Miała prawo ale nie z moją krzywdą! To zgroza i śmiechu warte, żeby rodzona siostra mojego stryja zapisywała majątek na jakąś akademię, na jakieś tam głupie naukowe cele, a mnie zostawiała bez grosza! To przechodzi wszelką imaginację! Ale będę apelował i wygrać muszę.

— Zwaryowała baba na starość, trudno sobie inaczej wytłumaczyć! — podkpiwał.

— Zgadł pan, jak pana Boga kocham, zapis zrobiła w stanie niepożytecznym, adwokaci dowiodą czarno na białem, że przez całe ży-

cie była kompletną waryatką. Ufundowała przecież przytułek dla ociemniałych sług, to może dowód rozumu, co? Rozdawała stypendya malarzom i drugim oberwańcom, to może nie bzik, co? Przecież tego zdrowy na umyśle i normalny człowiek nie robi. A na ostatku, żeby już nie było wątpliwości co do stanu jej mózgu, ona, de domo Raciborska, zapisuje cały majątek na cele naukowe, na wydawnictwa! Jak pana Boga kocham, ale to najoczywistszy dowód pomieszania zmysłów! Panie, świeć nad jej duszą, ale mnie już szewska pasya ogarnia, jak pomyślę, że mnie rodzona ciotka poprostu okradła! To woła o pomstę do nieba!

— Wyszedł pocztowy! — krzyknął woźny, trzaskając drzwiami.

Józio otworzył kasę, ale że nie było pasażerów, odwrócił się i rzekł ciszej.

— Gazety wezmą pana na języki za zwalenie publicznego zapisu...

— Co mi tam gazety, mogę ich nie czytywać! Niby to ja, panie dobrodziejski, nie rozumiem, co to jest publiczne dobro! Sam nieraz dawałem pro publico bono, sam popierałem sztukę i literaturę! A toż przez piętnaście lat byłem członkiem Zachęty, wygrałem nawet parę obrazów, prenumerowałem pisma, płaciłem różne składki, ale co za dużo — to i nie niezdrowo! Nie mówię, broń Boże, żeby tak setkę zapisała jaką, nawet, pał sześć, i jaki tysiączek, może i sam bym dołożył jeszcze drugie tyle! Czegożby człowiek nie poświęcił dla dobra kraju, dałem już, panie tego, dowody, ale całe sto tysięcy zapisać na jakieś wydawnictwa, które się psu nawet na budę nie zdadzą, tego już za wiele!

— Ale fundacja imienia Raciborskich — to także coś warte!

DCN.



UCZCIWA KOBIETA.

Pani Wiktorya miała krewnych w Paryżu, którzy z racji wesela córki, zaprosili ją do siebie.

I oto ona, żona małego lekarza z Drobina, Zakrocymia, czy zgoła Wyszogrodu, znalazła się naraz w stolicy świata.

Wodzone ją od rana do wieczora po ulicach, ogrodach, teatrach. Widziała już Łuk tryumfalny i Inwalidów, wdrapowała się na Kolumnę Lipcową, gdzie ją na ciemnych schodach jakiś podchmielony żołnierz objął i przytulił do serca. Carnavalet, Guimet, Galliera, Cluny tańczyły piekielną sarabandę w jej głowie. Po nocach śniły jej się mumie egipskie, małpoludy, wykopaliska z poutraćkami nosami, Nike, Wenus z Milo, dyskretne przepaski średniowieczne, karety koronacyjne... cudal.. Jechała po schodach ruchomych w Luwrze, przeszła po bulwarach, zrobiła nieuniknioną uwagę, czemu tu taki „fetur“, i już szykowała się do powrotu do ojczyzny, odświeżona, syta wrażeń, notując w książce podręcznej co ważniejsze z rzeczy widzianych, aby nic nie uronić i przekazać mężowi, dzieciom, a jak Bóg pozwoli, to—kiedyś—i wnukom—„jak to babcia była w Paryżu“...

W wigilie wyjazdu odwiedziło ją dwóch kuzynów męża, studiujących tu prawo czy medycynę. Dopytywali się, co łaskawa ciocia widziała już w Paryżu? gdyż oni mogliby służyć...

Dowiedziawszy się, że nie była ani razu na Montmartrze, płaśnili ze zgrozą rękami.

— Kabarety, specjałność Paryża! Jak oni panią oprowadzali, ci burżuje!—oburzył się Michał.

— Niech pani wykradnie się wieczorem i pójdzie z nami!—dorzucił Julek. Tylko proszę nic im nie mówić...

Umówili się na ósmą. Pani Wiktorya była w siódmym niebie.

Doznawała uczucia pensyonarki, wymykającej się na wolność. Układała sobie, jak to w Rypinie czy Płocku opowiadać będzie, jak „szalała w Paryżu“...

O godzinie ósmej odnalazła ich w kawiarni.

Pomimo, iż świetnie, jak twierdzili, znają Paryż, błędzono jakiś czas po krętych uliczkach. Nareszcie z pomocą sergentów i usługnych przechodniów, dostali się na Boulevard de Clichy. Był tam właśnie jarmark. Piszczalki, grzechotki, bębny, katarynki, sztuki łamane, karuzele, pisk, zgietk... Środkiem ulicy, na wiaduktach, przelatuje cały jarzający od świateł Métropolitain—dyabelska kolej bez lokomotywy. A tu obracają się czerwone, jak piekło, śmigły Moulin Rouge, a tu herold w powłóczystej szacie, z przyprawioną brodą, wzywa do groty, z której dobiega zachęcająca muzyka, a na której jest napis: Le Ciel. A o trzy kroki dalej: L'Enfer,

Pani Wiktorya, która nigdy w życiu jeszcze nie słyszała takiego piekielnego wrzasku, została tu chętnie, przejechała się na „montagnes russes“, a bodaj pogapiła trochę na wszystko. Nie śmiała jednak oponować kuzynom, którzy wzgardliwie kiwali głowami.

Zaprowadzili ją do przybytku, zwanego „Quat'z'arts“.

Dym przepełniał izbę, w której siedziano sobie prawie na karkach. W rogu było pianino; stał przy nim jegomość z twarzą alkoholika i zdartym głosem wpół śpiewał, wpół deklamował. Co chwila zrywała się burza śmiechu. Kelner w brudnym fartuchu położył im poufale ręce na ramionach i spytał, co pić będą. Michał szepnął coś, po chwili zjawily się trzy długie a wązkie szklanki z jakimś zielono-żółtym płynem.

— Niech kuzynka skosztuje. Menthe glaciale. Pyszności...

Julek czynił honory domu.

— Proszę rozejrzeć się po ścianach. Co za pyszne karykatury! Jak on śpiewał dykcja, mimika, co? Atmosfera artystyczna! To jest Paryż! Nie ten burżujski, ospały, strupieszający Paryż przeszłości! To serce Paryża, wszystko, co się rodzi, co burzy i protestuje!

Julek ściągnął, co prawda, zdanie to z jakiegoś artykułu z przed lat kilku, ale wobec kuzynki z Rypina szafował niemi z zupełną odwagą.

Pani Wiktorya rozglądała się, pełna najlepszych chęci. Usiłowała zachwycać się torsjami malowanych postaci i pieśnią żywego śpiewaka, choć *timbre* jego głosu uporczywie przypominał jej starego Łukasza z pod kościoła. Wyteżała słuch, by choć jedno słowo zrozumieć, lecz napróżno przywoływała na pomoc cały zapas swej francuszczyzny nadwiślańskiej. Bądź tu mądra, na przykład, z takiego kawałka:

J'en vois t'y qui s'fout'nt du tintouin
Pour arriver à la fortune;
Esperer l'bonheur dans c'sal'coin,
Franch'ment faut êt' „bon“ comm'la Lune.
J'suis ni mich'ton, ni barbizet,
Que j'casque, ou q'j'affur'qu'est—c'q'ça fait?
J'y a q'lui d'bath pour moraliser...

i t. d.

Co chwila sala trzęsła się od śmiechu. Śmiał się i Michał, i Julek...

— Oni też nic nie rozumieją, tylko śmieją się wtenczas, kiedy wszyscy... pocieszała się pani Wiktorya. Parę franków, jak w błoto...

Na ostodę zaczęła pić *menthe glaciale*...

Usta wykrzywiły jej się, chciała splunąć, ale oprzytomniała w porę. Tfu, cóż to za paskudztwo! I to ludzie pić mogą! W Polsce lada świnią zastanowiłaby się trzy razy, nim by ryj w tem umaczała!

— A co, kuzynko? A co kuzynko? — pytał jeden przez drugiego.

— Wspaniale, zachwycająco!

Było coraz goręcej, duszniej i hałaśliwiej. Atmosfera nie do zniesienia. Mięta sprawiła jej mdłości, myślała, że na miejscu zachoruje. Z wielką ulgą usłyszała nareszcie, że już koniec...

Na ulicy, upewniona, że już nie wróć, zaczęła się obłudnie unosić nad produkcjami i żałować, że tak prędko się skończyły...

— Bo to, widzi kuzynka, jest tam wiele aluzji politycznych, i kto nie jest tak, jak my, *au courant* życia paryskiego, ten może nie zrozumie...

Przeszli się po bulwarze. Michał rzekł:

— Jestem trochę głodny. Gdyby kuzynce nie żal było kilkunastu franków, zaproponowałbym *Rabelais*, albo *Monico*, albo *Bal Tabarin*.

— Żal? Cóż znowu!

Stanęli przed rzęśisto oświetloną restauracją. Długim rzędem zajeżdżały automobile. Z każdego prawie wysiadała jedna para: ona i on... i znikali w głębi oszklonej windy.

Ich, którzy przyszli piechotą, nikt do windy nie zapraszał. Weszli po wschodach.

Muzyka... Złocenia, czerwień. Wielkie zwierciadła, kwiaty, perfumy. Wyfraczona służba.

Pani Wiktorya oszołomiona zmrużyła oczy. Dopiero po chwili otworzyła je i patrzeć zaczęła. Patrzeć na wszystkie strony! Nic nie uronić!...

Wązka i długa sala, gęste stoliki. W kącie grzmił kapela: Węgry czy Serbowie, czarni, jak potępieńcy. Milknie orkiestra. Wtedy zaczyna śpiewać siwowłósy jegomość, spacerując sobie między publicznością. Śpiewa—i śmieje się dobroduszenie. Śmiano się do niego. Wógóle, wszyscy tu się śmieli dokoła...

Wielu było panów, ale więcej jeszcze pań. Wchodziły coraz nowe. Wiotkie, smukłe, eleganckie, ciągnęły się z wdziękiem jedwabne i aksamitne suknie pierwszej mody. Wiele było uczesanych stylowo. Wszystkie miały białe, wypieszczone dłonie o różowych paznokciach. Znać było na nich dobrobyt, staranne odżywianie, kąpiele wonne, kulturę ciała.

Pani Wiktorya, szara mieszczańeczka z Płocka czy Drobina, spojrzała na swe ręce, które cerowały skarpetki, kąpały Maniusię i nierzadko gotowały obiad. Uczuła się zażenowana.

— Cóż to za eleganckie damy?—szepnęła.

Michał objaśnił:

— Kokoty.

— Jaktó? i ta w różowej sukni? I ta w czarnej? Taka dystygowana!..

— Wszystkie.

— Niepodobna! Ona nawet nie malowana!

— Ba, i po cóż ma się malować, kiedy i tak ma cudowną cerę!

Pani Wiktorya wątpiła wszakże, i uwierzyła dopiero wtedy, gdy kła-

syćzna piękność w czarnej aksamitnej sukni siadła na kolanach mulata i objęła go białymi rączkami...

To Michał, to Julek wzywali kelnera, ale daremnie. Panowie we frakach spieszyli z półmiskami w różne strony, nie zwracając na nich uwagi. Muzyka rznęła melodye hulaszczcze, najmodniejsze. Od stolików podnosiła się coraz któraś dziewoja. Ujmowały się wpół, tańczyły parami. Tańczyły! Ha! ha! W najświetniejszych snach swych pani Wiktorya nie przeczuwała takich tańców...

Nie wiedziała, gdzie oczy podziąć, czy gorszyć się, czy zachwycić, czy uciekać.

Decorum zresztą zachowywano ściśle. Wszystkie były w powłóczy- stych sukniach i nawet nie dekolto- wane. Wykonywały swe niesłychane „pas“ poważnie, prawie ze skupieniem. Po- tem rozchodziły się i siadały przy swych wielbicielach. Jedna tylko była płatna tancerka, z gołą szyją i ramio- nami, w kusej sukience, o twarzy anioła. Zapatrzona wdał rozmarzonymi oczy- ma, tańczyła najwyuzdańsze numery, jak we śnie, jakby to jej nie tyczyło.

Rozumienieni mężczyźni bili bra- wo. Napływało coraz więcej osób, dech szła zaczął przelatywać po ży- łach. Obok pani Wiktoryi spożywano homary, turboty, różne jakieś zamor- skie, zgoła nieznane w Płocku dziw- łagi. Klasyczna piękność jadła je w sposób, okazujący, że są dla niej codzienną potrawą. Mimowoli pani Wiktorya sięgała myślą, jaki też musi być apartament tej zachwycającej isto- ty... i cały tryb jej życia... między ba- lami, teatrami, w pocałunkach, z ucie- chy na uciechę...

Pocierała czoło.

Czy nie śni?..

Jaki dziwny świat! Kolorowy, zło- ty, pachnący, lekkomyślny, bez trosk, bez obowiązków. Pieśni i kwiaty... miłość, miłość... Dokoła pary zato- pione w sobie, z oczami w oczach. Całują się w usta.

Brzmia pieśni. Leje się szampan po ziemi, ale nikt nie uważa na to...

Na kanapie przy pani Wiktoryi siadł jakiś młodzieniec. Myślała, że chce ją zaczepić i nasrożyła się z go- dnością: „Mój panie, jestem uczciwą kobietą!“ Ale on ani myślał zaczepiać.

Odwrocił się od niej plecami i żar- tował z przechodzącymi niewiastami.

Piękność w czarnej sukni patrzyła na panią Wiktoryę uważnie, jakby ze zdziwieniem. Szepnęła coś swemu mu- latowi. I on spojrzał.

Pani Wiktorya zażenowała się nagle.

Wydało jej się, że cała sala pa- trzy na nią i wytyka palcami. Co tu robi ta zmokła kura, ta szara żona le- karza z Płocka czy Dobrzynia, na któ- rej twarzy, dzień po dniu, wypisało się wieloletnie życie drobnomieszczań- skie, groszowa oszczędność, troska o wypaloną naftę, wojny ze służą, go- towane rosoły. Zdawało się, że wszy- scy czytają, jak w otwartej księdze, historię jej paru franków, widzą jej halkę barchanową i wełniane pończochy.

— Ja... jestem uczciwą kobietą!

Powiedziawszy to, wzniosła wy- soko głowę i z góry spojrzała po sali. Ale argument był słaby. Cała cnota wydała się jej nagle łachmanem bez wartości.

Zawstydziła się swoich towarzy- szów, ich chudych twarzy i min pa-

rafiańskich, ich peleryn z oberwanemi guzikami. Mulał obok jest wprawdzie czarny, ale ręce ma niepokalanie czy- ste—nie o wiele ciemniejsze, niż nie- domyte narządy chwytania jego biał- skórych sąsiadów. A zachowuje się, jak wielki pan! Powiedziała sobie jesz- cze raz: „Jestem uczciwą kobietą“. Przebrzmiało to bez echa, wydało jej się nawet szyderstwem... Nawet kel- nerzy omijają ten stolik, nie zaszczy- cając względami gości, którzy siedzą dwie godziny i piją tylko *tisane*. Nie mogła znieść spokojnego, wyniosłego wzroku kokoty...

— Chodźmy już... szepnęła.

— Dlaczego? Czy nie podoba się pani!

— Chodźmy... Te kokoty dokoła... To kompromituje...

— Kuzynko! czyżby pani była taką parafianką...

— Patrzaj na nas... Chodźmy! Chodźmy! upierała się, bliska płaczu. Zerwała się, ściągnęła mimochodem obrus z sąsiedniego stolika i uciekała z wypiekami na twarzy, nie czekając na Michała, który targował się z kel- nerem...

Piękność w aksamitnej sukni przy- patrywała jej się filozoficznie.

Aż do samego domu pani Wikto- rya szła w milczeniu.

W milczeniu rozebrała się, poło- żyła do łóżka. Ale długo zasnąć nie mogła. Przewracała się z boku na bok i wdychała. Myśli przykre i dokuczliwe wirowały jej po głowie.

Wreszcie, po długich westchnie- niach tej nocy bezsennej, rzekła z ulgą, nic lepszego wymyśleć nie mogąc:

— Ale ja jestem uczciwą kobietą...

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

11

Przekład z angielskiego.

Roześmiał się po raz pierw- szy, odkąd byli ze sobą, i całe jego lico pokryło się siecią drobnych ruchomych zmarszczek.

— Nie powinno się tedy mie- szkać w ogrodzie, pani.

— Chciałabym wierzyć w pań- skie słowa, lecz zadanie to będzie trudne.

— Czyż tak? Trudniejsze je- szcze, być może, gdy pani dowie się, co leży obok z memi myślami o prawdzie.

Gdy mówił to, wyszli z tunelu i zostali pochwyceni dziką dłonią słońca. Było pół do dwunastej, i światło było oślepiające. Domini otworzyła gwałtownie parasolkę, jak osoba rażona. Wstrzymała krok.

— Ależ to przerażające! — za- wołała.

Hrabia Anteoni roześmiał się znowu i nasunął na oczy rondo

swego szarego kapelusza. Ręka, którą to czynił, była spalona pra- wie tak samo, jak u araba.

— Boi się pani tego?

— Nie, nie! Lecz to mnie przerażało. My w Europie właści- wie nie znamy słońca.

— Tak jest. Nawet we Wło- szech południowych, nawet w Sy- cylii nie znamy go. Latem jest ono tam lute, lecz zdaje się być dal- szem. Tu ono spływa zażyłością, najbardziej natężoną. Jeżeli pani to zniesie, może usiądziemy tu na chwilę.

— Owszem.

Wzdłuż całego rogu ogrodu, od willi aż do skraju posiadłości hrabiego Anteoni'ego, biegł prosty, wysoki mur, pobudowany z cegły, w słońcu stwardniałej, i zakończony u góry baryerą z drzewa pal- mowego, białą malowanym. Mur

ten był osiem stóp wysoki od stro- ny przyległej do pustyni, lecz ogród wznosił się w ten sposób, że stro- na wewnętrzna stanowiła prawie niski murek, biegnący wzdłuż ście- żki piaszczystej. W murze tym były wycięte małe siedzenia, w ro- dzaju framug, w których można by- ło pozostać i w pełni patrzeć na pustynię, jak z małych fortów. Do- mini siadła na jednym z nich, a hrabia stanął obok, stawiając no- gę na wierchołku muru i prawą ręką wspierając się o kolano.

— Oto jest świat, na który pa- trzę ze swego ukrycia,—rzekł.—Ro- zległy świat, nie prawda-ż?

Domini skinęła głową bez słowa.

Tuż pod niemi, w wązkim cie- niu od muru, szła droga z ziemi i kamieni, która u końca ogrodu skręcała na prawo do oazy. Za nią ciągnęło się obszerne łóżysko rze-

ki, chaos gorącej kotliny, obrzeżonej postrzępionymi skałami niskiego gruntu, tu i owdzie usłanej małymi kałużami błyszczącej wody. Skały te były żółte. Od ich skraju rozciągała się pustynia, jak Wieczność, rozciągająca się od skrajów Czasu. Jedynie z lewej strony bezmierny rozłóg spotykał na drodze długie pasmo gór, które biegło na pewnej przestrzeni śmiało i urywało się raptownie, zatrzymane, pokonane przez równie nakazującą. U stóp gór były niskie, podobne do namiotów, barwy cynamonowej, falistości, które przypominały Domini te, które się tworzą przy wstrząsaniu prześcieradeł, — coraz mniejsze — aż wreszcie w równię spływały. Wierzchołki najbardziej odległych gór, które odchylały się, jakby w obawie pustyni, były ciemne i mgliste purpurowe. Boki ich były o tej porze barwy szarej żelaza, z plamami we wgłębieniach bladoliłowymi i różowymi, które zaczęły czerwieniały się w miarę, jak słońce zachodziło.

Domini zaledwie ku nim spojrzała. Dotychczas myślała zawsze, że lubiła góry. Pustynia naraz uczyniła je nieznaczącymi i prawie pospolitymi dla niej. Zwróciła wszystkie swój wzrok na płaskie obszary. W nich spoczął cały majestat, siła, tajemnica, wszystkie rzeczy głębokie i znaczące. Pośrodku łożyska rzeki i prawie blisko wznosiła się okrągła i przysadzista wieża z małą kopułą. Za nią, na małej skale, była grupa palm, gdzie mała oaza dawała schronienie kilku chatkom krajowców. Na niezmiernie przestrzeni, tu i owdzie, inne oazy wyglądały, jak ciemne plamy na morzu w miejscach, gdzie są ukryte rafy. I dalej wciąż, ze wszech stron, pustynia zdała się lekko pochyłać, jak płytka, winem barwiona czasza, ku mglistej błękitnej linii horyzontu, który podobny był do widzianego nagle, tajemniczego morza zwrotnikowego, tak odległego, że szept jego stłumiony ginął w objęciach ciszy wszechwładnącej.

Drogą pod murem szedł arab. Nie widział ich. Biały pies kudłaty biegł za nim. Arab śpiewał do siebie głosem niskim, wewnętrznym. Przeszedł i skręcił ku rzecie, wciąż śpiewając i wolno idąc.

— Czy pani wie, co on śpiewa? — zapytał hrabia.

Domini wstrząsnęła głową. Natężyła słuch, by słyszeć, jak można najdłużej, melodyę.

— To pieśń pustyni murzynów wyzwolonych z Tuggurtu. — „Nikt, prócz Boga i mnie, nie wie, co w sercu mojem!”

Domini zniżyła parasolkę, by ochronić twarz. W odległości wciąż jeszcze słyhać było pieśni, zamierała już jednak.

— Co mnie tu spotka! — pomyślała.

Hrabia Anteoni patrzył teraz zdala od niej na przestrzał pustyni. W Domini powstała dziwna pobudka. Nie mogła jej się oprzeć. Opuściła parasolkę, oddając siebie na pastwę oslepiającego blasku słońca, uklękła na gorącym piasku, oparła ręce na białej baryerze, brodę swą wsparła na odwróconych dłoniach i tak patrzyła na pustynię, zuchwale i dziko.

— „Nikt, prócz Boga i mnie, nie wie, co w sercu mojem” — myślała. — Lecz to nie jest słusznem, nie jest słusznem. Bowiem i ja nie wiem.

Ostatnie echo pieśni arabskiej rozwinęło się w palącym powietrzu. Napewno, skręciwszy w cień palm, śpiewa obecnie: „Nikt, prócz Boga, nie wie, co w sercu mojem”. Tak, tak śpiewa obecnie. „Nikt — prócz Boga, nikt — prócz Boga”.

Hrabia Anteoni spojrzał na nią z góry. Nie mogła była tego dostrzedz. Przez chwilę trzymał na niej swój wzrok — potem go znowu zwrócił na pustynię.

Stopniowo, patrząc tak, Domini oswajała się z wielu rzeczami, dającymi znaki życia, i z wielu żywotami w tym strasznym przestworze, który na pierwszy rzut oka zdawał się być wyzutym ze wszystkiego — prócz słońca i tajemnicy. Dostrzegła niskie namioty rozbite, dalekie słupy wznoszącego się dymu. Ujrzała ptaka, szybującego poprzez błękit i znikającego w stronie gór. Pośród małych zwałów ziemi, zwieńczonych trawą zakurzoną i krzakami karłowatymi tamarysków, poczęła dostrzegać czarne kształty. Obaczyła, że się poruszają, jak przedmioty we śnie, zwolna — skroś złoto drgające. To były pasące się wielbłądy, strzeżone przez nomadów, których nie można było dojrzeć.

Prawie blisko, w łożysku rzeki ujrzała araba, jadącego konno ku pustyni na wspaniałym karym rumaku. Jechał w górę częścią stromą ścieżki i wyjechał na płaski grunt wierzchołka skały. Wtedy puścił konia wcał, uniósł cuglę ręką i piętę swe wbił w boki zwierzęcia. I każdy z ruchów konia był niezwykle zajmujący i trzymał uwagę patrzącego na uwięzi, jakgdyby losy świata stały się zależne od tego, dokąd on został posłany i jak prędko dotrze do celu. Sznur wielbłądów, naładowych balami drzewa, ciągnął ku niemu na drodze —

i to spotkanie w wyobraźni Domini urosło prawie do jakichś strasznych możebności. Posłała znów swój wzrok dalej, ku czarnym kształtom, poruszającym się ukradkowo wśród małych wzgórków, ku wstęgom wznoszącego się dymu w drżącym powietrzu. Kto strzegł te wielbłądy? Kto zapalił te ognie odległe? Kto czuwał przy nich? Zdało się dla niej rzeczą wagi życiowej, by mogła to wiedzieć.

Hrabia Anteoni wyjął zegarek i spojrzał na niego.

— Patrzę, czy bliska już godzina modlitwy, — rzekł. — Gdy jestem w Beni-Mora, zazwyczaj przychodzę tu wtedy.

— Pan zwraca się do pustyni, jak wierny zwraca się do Mekki.

— Tak jest. Lubię patrzeć, jak modlą się ludzie w pustyni.

Mówił obojętnie, lecz Domini uczuła naraz, jako rzecz pewną, że były w nim głębie wyobraźni, czułości, a może i mistycyzmu.

— Ateista w pustyni jest czemś nie do pomyślenia, — dodał. — W kościołach katedralnych jest ich prawdopodobnie wielu — i czują się tam nawet, jak w domu. Widziałem kościoły, w których mogłem wierzyć, iż jestem jednym z nich, ale... jak wiele istot ludzkich może pani dojrzeć w tej chwili w pustyni?

Domini, wciąż z brodą na dłoniach, zbadała wzrokiem obszar ślepiący.

— Widzę pięć osób, — odrzekła.

— Ach! nie obyła pani jeszcze z pustynią.

— Jest ich więcej?

— Ja mogę naliczyć w tej chwili dwanaście. Którzy są pani?

— Ludzie z wielbłądami i ludzie pod wieżą.

— Jest jeszcze czterech, grających w kamienie w cieniu skały, która naprzeciw nas. Jeden śpi pod skałą czerwoną, gdzie drogi zstępują do pustyni. A tu dwóch — na samym skraju małej oazy — Filiasz, jak ją zwą tutaj. Jeden stoi pod palmą, a jeden chodzi tam i z powrotem.

— Ma pan wspaniały wzrok.

— Zaprawiony w pustyni. Lecz prawdopodobnie jest tu jeszcze wielu arabów, których nie mogę dojrzeć okiem.

— O! teraz widzę człeka na skraju oazy. Jak niezgrabnie porusza się on. Chodzi tam i z powrotem, jak marynarz na pokładzie okrętu.

— Tak jest, to ciekawe. A ten jest w całym olśnieniu słońca, musi to być arab.

Z kieszonki od kamizelki wyjął srebrną gwizdawkę, przyłożył do ust i gwizdnął. Za chwilę przy-

był Smain, biegnąc lekko po piasku. Hrabia Anteoni rzekł coś do niego po arabsku. Smain zniknął i śpiesznie powrócił z połową lornetką. Przez ten czas Domini obserwowała w milczeniu dwie postaci na wzgórku, które były podobne do lalek. Jedna z nich stała pod wielką osamotnioną palmą, całkiem spokojnie, jak to zwykli nieraz czynić arabowie. Druga, niedaleko od pierwszej, cała w słońcu, chodziła tam i z powrotem, wymierzając wciąż tę samą przestrzeń pustyni, pomiędzy dwoma stałymi punktami, stanowiącymi jakby granicę. Chodził tam ktoś, jak zamknięty wśród murów, chociaż dokoła była przestrzeń bezmierna. Robiło to na Domini wrażenie szczególnie nieprzyjemne. Jak to już przedtem zauważyła, wszystkie rzeczy w pustyni nabierały wagi prawie trwożącej—nadto ruch ten szczególnie zdał się pełen jakiegoś niezwykłego i nawet strasznego przeznaczenia. Obserwowała go oczyma wytężonemi.

Hrabia Anteoni wziął szkła od Smaina i patrzył przez nie, przystosowując je starannie do wzroku.

— *Ecco*,—rzekł,—W porządku. Człowiek ten nie jest arabem.

Odjął szkła i spojrzał na Domini.

— Pani nie jest tu jedyną podróżniczką.

Znowu spojrzał przez szkła.

— Wiem o tem,—rzekła.

— Czyż tak?

— Jest jeszcze jeden podróżny w hotelu, w którym mieszkam.

— Możliwe, że to on. Robi on na mnie wrażenie tygrysa w klatce, który tak długo był w niewoli, że nawet wypuszczony wyobraża wciąż sobie zapory dokoła. Jak on wyglądał?

Przez cały czas, jak mówił, patrzył usilnie przez szkła. Gdy Domini nic nie odrzekła, odjął je od oczu i spojrzał na nią pytająco.

— Staram się myśleć, jak on wyglądał,—rzekła powoli.—Lecz czuję, że nie mogę. Jest on całkiem niepodobny do zwykłego człeka.

— Może pani zechce zobaczyć, czy go nie pozna? To są szkła prawdziwie cudowne.

Domini wzięła je z rąk jego z pewną powagą.

— Niech pani kręci je, dopóki nie będą całkiem do oczu.

W pierwszej chwili nie mogła nic dojrzeć prócz żółtych ogniów. W miarę, jak obracała śrubę, pustynia stawała przed nią zadziwiająco wyraźnie. Kamienie nadrzeczne były olbrzymie. Mogła widzieć żyły kolorowe na nich, jaszczurkę, przebiegającą po jednym z nich

i znikającą w ciemnej szczelinie, za tem białą wieżę i arabów pod nią. Jeden był stary, ziewający, drugi był chłopięciem. Widziała, jak pociągał koniec swego brązowego nosa, dostrzegła czerwone zabarwienie na jego paznokciach. Uniosła szkła wolno i z przezornością. Wieża znowu odbiegła. Doszła do niskiego wzgórka, do brunatnych chatek i do palm, minęła je kolejno i dosięgła ostatniej, która stała oddzielnie od swych towarzyszek. Stał pod nią duży arab w białej szacie, wyglądającej, jak nocna koszula.

— Wygląda, jakby miał jedno oko,—wykrzyknęła Domini.

— Palmowy człowiek—tak!

Znowu ostrożnie przeniosła z niego oczy, utrzymując szkła na poziomie.

— Ach!—rzekła, wstrzymując oddech.

Gdy to mówiła, cienki krzyk nosowy zoddali przeszył powietrze, ciągnąc się w długim wołaniu.

— To Mueddin,—rzekł hrabia Anteoni.

I niskim głosem powtórzył słowa anioła do Proroka: „Ty, któryś jest okryty, powstań... i uwielbiaj Pana; i oczyść swe szaty i stroń od nieczystości“.

Wołanie zamarło w oddali—i trzy razy zostało powtórzone. Starzec i chłopię pod wieżą zwrócili twarze ku Mecce, upadli na kolana i pochyłili głowy swe na gorące kamienie. Duży arab pod palmą również szybko przypadł do ziemi. Domini trzymała szkła przy oczach. Przez nie, jak w jakimś widzeniu przesadzonem, bardzo daleko, chociaż z wyrazistością natężoną, ujrzała owego podróżnego, z którym jechała razem w pociągu. Chodził wciąż, tam i z powrotem, po spalonym gruncie, aż póki czwarte wołanie mueddina nie zamarło w przestrzeni. Wtedy, gdy zbliżył się właśnie do palmy osamotnionej i zobaczył, iż arab pod nią pada na ziemię i długie swe ciało zgina w modlitwie, zatrzymał się naraz i patrzył jakby w kontempatyi. Szkła były tak potężne, że można było widzieć wyraz twarzy nawet z tej odległości. Był to wyraz, jak można było wnosić, narazie głębokiej uwagi. Zmienił się atoli raptownie i, gdy zobaczył zginającą się postać, poszło za nim naprzód spojrzenie niepokoju, potem dzikiego niesmaku, wreszcie—najwidoczniej—grozy i przestachu. Zwrócił się gwałtownie, jak człek pędzony, i ruszył wzdłuż skraju wzgórka krokiem przyspieszonym i wciąż go jeszcze natężał, aż póki odejście to

nie stało się ucieczką. Zniknął za skłonem ziemi, gdzie ścieżka wgrązała się w łożysko rzeki.

Domini położyła szkła na murze i spojrzała na hrabiego Anteoni'ego.

— Mówił pan, że w pustyni ateista jest rzeczą nie do pomyślenia.

— Czyż nie prawda?

— Czyż nie ma ateista nienawiści i strachu przed modlitwą?

— *Chi lo sa!* Dyabeł stroni—to pewna—od krzyża wyniesionego.

— Wie bowiem, jak wielkiej prawdy był on symbolem.

— Bez wątpienia. Gdyby było inaczej, drwił by, lecz nie stronił. Ale dlaczego pyta mnie pani o to?

— Widziałam właśnie człowieka, który uciekał na widok modlącego się.

— Pani towarzysz podróży?

— Tak jest. To było straszne.

Oddała mu szkła z powrotem.

— Odkrywają one, co winno pozostać w ukryciu,—rzekła.

Hrabia Anteoni wziął szkła z jej rąk powoli. Gdy się pochylił, żeby to uczynić, spojrzał na nią przenikliwie, a ona nie mogła odczytać, co oczy jego wyrażały.

— Pustynia jest pełna prawdy. Czy o tem pani myśli?—zapytał.

Nie odrzekła. Hrabia Anteoni przeciągnął rękę przed siebie w kierunku lśniącego obszaru.

— Człek, który boi się modlitwy, jest nierozsądny, kierując swe stopy pod drzewa palmowe,—rzekł.

— Dlaczego nierozsądny?

Wtedy rzekł z wielką powagą.

— Arabowie mają przysłowie: Pustynia jest ogrodem Allaha.

DCN.

TREŚĆ NUMERU 11-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*
Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*
Uczciwa kobieta. *Marion.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie;
1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:
Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zybkiewicza, № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie